

Dariusz Koźlenko

Sklep

Dawniej było tak: od szóstej rano po osiedlu rozchodził się zapach świeżego chleba. Jeszcze przed południem Teresa Bargad podjeżdżała taksówką. Przywoziła wędlinę. Z bagażnika wyjmowała pachnące kielbasy, szynki, balerony. Jeździła po nie do oddalonego o 17 kilometrów Ryjewa, bo tam wędlinę mieli najlepszą. W kącie sklepu skrzynki z piwem, obok oranżada po złoty sześćdziesiąt. Bułki, masło, śmietana, słodycze. Przy okienku kolejka. Nie tylko po zakupy. Ludzie gadają. Najlepiej gada się w kolejce. Jest czas, wszyscy się znają.

– Urwanie głowy z tym dzieciakiem, do szkoły chodzić nie chce, ciągle wagaruje, ostatnio złapałam go jak palił papierosa. Za mały, żeby mu na wszystko pozwolić, za duży, żeby go po dupie spruć. Pani kochana, co ja mam z nim zrobić?

– Z tą sąsiadką z dołu, wie pani z którą, wytrzymać nie idzie, byłam cierpliwa, ale już nie mogę, chyba jej wreszcie wygarnę, co o tym wszystkim myślę. Co pani sądzi, pani Teresko? Wygarnąć?

Stary sklepik przy ulicy Słowackiego widział niejedno. I niejedno słyszał. Uzbierałoby się tego na grubą książkę rodzinnych skarg i zażaleń. Bo sprzedawca w małym sklepiku to nie kasjer w hipermarkecie, można mu powiedzieć wszystko – wysłucha, doradzi i zapomni. Jak ksiądz. Albo lekarz.